

Myśląc o czymś, co nie do pomyślenia

18 listopada 2008

Tak więc, wszystko było możliwe. Możliwa okazała się zmasowana interwencja finansowa państwa. Okazuje się, że można było puścić w niepamięć wymogi takiego fundamentu Unii Europejskiej, jak Pakt Stabilności i Wzrostu z 1997 r. Banki centralne mogły skapitulować w obliczu pilnej potrzeby ożywienia gospodarczego. Można było potępić raje podatkowe. To wszystko okazało się możliwe, bo trzeba było ratować banki.

Przez 20 lat wszelki pomysł wprowadzenia jakiegokolwiek zmiany w podstawach ładu neoliberalnego po to na przykład, aby poprawić warunki bytowe większości społeczeństwa, napotykał zawsze tę samą reakcję: Czy wiecie, że Mur Berliński upadł? To wszystko starocie, naszym prawem jest globalizacja; kasy są puste; rynki się nie zgodzą.

„Reformę” robiono przez 30 lat, ale w przeciwnym kierunku – w kierunku rewolucji konserwatywnej, która na łup finansjery wydawała coraz pokaźniejsze i so- czystsze transze dobra wspólnego, jak to było w przypadku sprywatyzowanych służb publicznych, które zamieniły się w maszyny do robienia pieniędzy, „tworzące wartość” dla akcjonariuszy. „Reformę” robiono, a jakże, ale w kierunku liberalizacji handlu, która kazała obniżać płace i likwidować osłony socjalne, zmuszając dziesiątki milionów osób do zadłużania się po to, aby zachować siłę nabywczą, i do „inwestowania” (na giełdzie, w ubezpieczeniach), aby zapewnić sobie edukację, zabezpieczyć się na wypadek choroby, którą samemu się przewidzi, przygotować sobie emeryturę.

Ta deflacja płacowa i ta erozja osłon socjalnych najpierw spłodziły, a następnie nakręcały rozpasanie finansjery, bo stwarzanie ryzyka zachęcało do zabezpieczania się przed nim.

Bańka spekulacyjna zawładnęła mieszkalnictwem, które zamieniła w lokatę. Nieustannie pompowano w nią hel ideologiczny „myśli rynkowej”, toteż mentalności się zmieniały – stawały się bardziej indywidualistyczne, coraz bardziej wyrachowane, coraz mniej solidarne. Krach 2008 r. nie ma więc przede wszystkim technicznego charakteru i na nic nie zdadzą się takie środki uśmierzające, jak „moralizacja” czy „koniec wybryków”. To cały system leży jak długi.

Wokół niego krzątają się już ci, którzy mają nadzieję, że postawią go na nogi, założą mu gips, wypolerują, tak, aby jutro mógł na nowo wyciąć społeczeństwu jakiś złośliwy kawał. Lekarze udający oburzenie na (nie)konsekwencje neoliberalizmu to przecież ci sami osobnicy, którzy zaopatrywali go w afrodyzjaki – budżetowe, regulacyjne, fiskalne, ideologiczne – aby sobie folgował nie licząc się ze swoimi siłami. Powinni uznać się za zdyskwalifikowanych, ale wiedzą, że na odsiecz przyjdzie im cała armia polityczna i medialna, która ich wybieli.

Oto Gordon Brown, premier Wielkiej Brytanii, były minister finansów, którego pierwszym posunięciem było przyznanie „niepodległości” Bankowi Anglii. Oto José Manuel Barroso, przewodniczący Komisji Europejskiej, która jest owładnięta obsesją „konkurencji”. Oto Nicolas Sarkozy, prezydent Francji i spec od „tarczy fiskalnej”, pracy w niedzielę, prywatyzacji poczty. Jak się wydaje, wszyscy oni starają się ożywić i uzdrowić kapitalizm...

Mogą być tak bezczelni, bo korzystają z pewnej dziwnej nieobecności: gdzież bowiem jest lewica? Widać, że ta „oficjalna”, która towarzyszyła neoliberalizmowi – deregulowała finanse za prezydentury demokracji Williama Clintona, dezindeksowała płace za prezydentury socjalisty François Mitterranda zanim sprywatyzowała je za rządów socjalisty Lionela Jospina i jego ministra gospodarki, finansów i przemysłu Dominique Strauss-Kahna, ciosała siekierą zasiłki dla bezrobotnych za rządów Gerharda Schrödera – ma

tylko jedna ambicję: chce jak najszybciej zamknąć rozdział pt. Kryzys, którego jest współautorem.

Można i tak, ale co z inną lewicą? Czy w takiej chwili, jak ta, może ona zadowolić się odkurzaniem swoich najskromniejszych – pożytecznych, ale jakże nieśmiałych – projektów w rodzaju podatku Tobina, podwyżki płacy minimalnej, „nowego systemu z Bretton Woods”, ferm wiatrowych? W keynesowskim trzydziestoleciu prawica neoliberalna myślała o czymś, co było nie do pomyślenia, i w końcu to narzuciła, korzystając z okazji wielkiego kryzysu. Przecież od 1949 r. Fryderyk Hayek, ojciec chrzestny nurtu, który wydał na świat Ronalda Reagana i Margaret Thatcher, wyjaśniał swoim chrześniakom: „Główny wniosek, który konsekwentny liberał powinien wyciągnąć z sukcesu socjalistów, jest taki, że to odwaga, z jaką potrafią być utopistami (...) sprawia codziennie, iż coś, co wydawało się niemożliwe, staje się możliwe.”

Któż więc zaproponuje zakwestionowanie istoty systemu – wolnego handlu? [1] „Utopia”? Ależ dziś wszystko jest możliwe... ale tylko wtedy, gdy trzeba ratować banki...

Autor: Serge Halimi

Tłumaczenie: Zbigniew M. Kowalewski

Źródło: [„Le Monde diplomatique” nr 11 \(33\) 2008](#)

PRZYPIS

[1] W sierpniu 1993 r. laureat nagrody Nobla w dziedzinie ekonomii, ultraliberał Gary Becker, wyjaśniał: „W większości krajów rozwiniętych doszło do ekscesów w sferze prawa do pracy i ochrony środowiska. Wolny handel wyeliminuje niektóre takie ekscesy, zmuszając każdego do konkurencyjności w obliczu importu z krajów rozwijających się.”